Nr. 22. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty:
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 27 Maja 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

f) Jedność siły i definicja siły.

Jest to najlepiéj opracowany rozdział całego traktatu o siłach, będący streszczeniem tego wszystkiego, co się poprzednio o tym przedmiocie powiedziało. Autor przekonany o ważności tego przedmiotu, z całą mocą przekonania rozwija jeszcze raz myśl swoją, i można się z nim w niejedném pogodzić, co zrazu do naszych pojęć nie przypadało. Jeżeli nam powiada, że cała kreacja od atomu aż do człowieka, jest wielkim, harmonijnym rozwojem jedności (str. 238) można to tylko rozumieć o kreacji ziemi naszéj, boć o istotach rozumem obdarzonych, innych nieskończonych ciał niebieskich, żadnego pojęcia nie mamy. Badania analizy spektralnéj nas pouczyły, że te ciała uraniczne mniéj więcéj z tych samych pierwiastków, co ziemia nasza złożone, i wnosić z pewnością można, że nie inaczéj jak z atomu powstały. Inna jest rzecz, czy typy tworów tam się znajdujących, naszym ziemskim są odpowiednie. Jak tworów tak i typów rozmaitość musi być nieskończona; a inne stosunki światła, ciepła, elektryczności, wywoływać muszą inne stosunki ciał stałych, płynnych i elastycznych, a ztąd inne rodzaje typów, niżeli są nasze ziemskie.

Wszystkie, jakie się objawiają siły, proste, organiczne czy intellektualne są tylko metamorfozą jednéj elementarnéj siły przyciągania w odpychaniu. Siła prosta zabłyska Sokratesową intelligencją, skoro elementarne pierwiastki materji tak się ułożą, jak się ułożyły w mózgu Sokratesa. Zwierzę każde jest człowiekiem, wstrzymanym w różnych chwilach jego rozwoju organicznego. Ztąd każde zwierzę uwydatnia pewną złą czy dobrą skłonność ludzką. Człowiek jest tylko więcéj rozwinięty od zwierząt, ale ma z niemi początek wspólny w sile, jak w materji. Zanim zostaliśmy ludźmi, byliśmy istotami niższéj organizacji. Wedle teorji Newtona, siedm kolorowych promieni, na które pryzmat szklanny biały promień światła rozkłada, są uważane za pierwiastki tegoż światła; wedle niniejszéj filozofji natury, te promienie kolorowe są tylko przemianą jednego pierwiastka, którego ostateczną przyczyną jest moment drgnięcia siły prostéj w sobie saméj do czynu. Miłość między ludźmi, a powinowactwo wyboru ciał prostych w retorcie chemicznéj, jest jedna i ta sama siła przyciągania w odpychaniu. Co St. Hilaire nazwał affinité de soi en soi, to jest przyciąganie dwóch odrębnych symetrycznych połówek, z których płód z początku jest złożony, i łączenie się w jedną istotę; to samo dzieje się w połączeniu dwóch atomów, ażeby złożyć zarodek materji.

Dla autora siła i materja jest jedno i to samo, ale tylko w momencie przejścia siły w materję, to jest

w atomie, co się dzieje w momencie rozkładów ciał i ich związków. Po za tym momentem siła jest siłą, rządzącą i utrzymującą twory, a materja materją, będącą podstawą świata fizycznego. Wszakże siła i materja w osobni nie istnieją, zawsze idą społem, jak ciało z duszą.

Najwyższą potęgą siły jest mądrość w miłości. Wyrazy nasze kochać się i kochać się w kim — czyli kochać drugą osobę w sobie; i znowu siebie kochać w drugiéj osobie, dokładnie rozwiązują jedność siły w dwóch przeciwnych zupełnie własnościach. Ztąd téż potęgi rozumu i serca są najwyższe. Łamią przeszkody, odległości, czas. Wszystko złe, jest wypadkiem nieharmonji tych dwóch sił. Jedna nauka Chrystusa tę harmonję wypowiada i królestwo Boże z niéj obiecuje. A jednak tak mądrość jak miłość są tylko jedną siłą, są tém, czém jest przyciąganie w odpychaniu.

Ta dwoistość natury dopatrzeć się daje w każdéj sile, począwszy od siły prostéj aż do siły ducha. Ona wskazuje na prawo de Serra, że skład każdéj istoty organicznéj z dwóch symetrycznych połówek się składa. Ona tłomaczy okoliczność, że na atom materjalny, dwa atomy się składają.

Iskry pryskające z krzesiwa, są to iskierki ognia, pokazujące się w skutek odpryśniętych kruszyn krzemienia uderzanego o stal. Jest to więc objaw siły; tak jak palenie się ciągłém jest odrywaniem się cząstek palącego się ciała, czyli wyzwalaniem się siły, wiążącéj jego atomy. Objaw ten jest światłem i ciepłem razem, a jako objaw nie jest ciałem, ale jest nieważką, jak elektryczność, magnetyzm, galwanizm. Jeżeli oko nasze, choćby wsparte narzędziami, nie dostrzega tych fenomenów światła i ciepła przy każdém rozłączeniu dwóch atomów w ciele, to jednak one tam są; tłomaczy je cieplik, w każdém ciele utajony, i atmosfera eteryczna otaczająca każdą cząsteczkę. Jak rozbudzamy tylko siły w ciele ale ich nie tworzymy, tak rozbudzamy intelligencję w człowieku ale jéj nie stwarzamy. Światło jest mądrość, a ciepło jest miłość. A jedno i drugie przyświeca i ociepla związki i rozkłady ciał, choć ognia i cieplika nie dostrzegamy.

Z tego wszystkiego wyprowadza autor ten wniosek: że prawo jedności elementu dla wszystkich sił i dla wszystkich materji w całéj kreacji jest wspólne; że tym elementem jest moment wyjścia siły ze stanu jéj równowagi w Bogu do czynu, czyli momentem drgnięcia siły w sobie saméj, na przejście w materję; co znowu ostatecznie jest przyciąganiem w odpychaniu (str. 254).

Stan spoczynku dla siły jest względny, jest stanem równowagi dwóch jéj własności przyciągania i odpychania. Siła pierwotnie spoczywała w Bogu i odebrała od niego popęd do czynu, do bezwiednego i do intellektualnego czyli siebie świadomego działania. Otóż moment drgnięcia w sobie siły do czynu jest siłą (str. 256).

Autorowi nie wystarczała dana przezeń poprzednio definicja siły, że jest wyjściem ciała ze stanu spoczynku do stanu ruchu i dla tego teraz drgnięcie w sobie siły do czynu nazwał siłą. Wątpię by na tém zyskała definicja siły. Bo to ostatnie oznaczenie wyraża nie siłę ale jéj działanie, i nie wyraża działania ciągłego i nieustającego, czém jest siła, ale sam początek, czyli popęd do działania. Pan Levittoux powiada, że w sobie samym znalazł elementa swojéj filozofji natury, bo odkrył w sobie i mądrość w miłości, i owo drgnienie siły w sobie saméj do czynu. Szukać w własnym duchu pojęć zasadniczych do filozofji, jest rzeczą bardzo właściwą i używaną; albowiem tylko w wiedzy ducha naszego są złożone skarby mądrości, z których człowiek czerpać może i powinien. To téż wszelkie powstające w nas nagle jakby błyskawice, nowe i oryginalne pomysły, są jakby drgnieniem siły naszéj intellektualnéj. Jeżeli nie przypuszczamy natchnienia, inaczéj ich sobie wytłomaczyć nie potrafimy. Ale dla tego to drgnienie nie jest jeszcze siłą naszą intellektualną. Jest ona jeszcze czémś więcéj. Jeżeli obudzi się we mnie chęć nagła uczynienia czegoś, to to obudzenie jeszcze nie jest wolą moją.

My zgadzamy się z autorem na zasadę, którą wypowiedział co do atomu i co do siły elementarnéj przyciągania w odpychaniu. Zgadzamy się oraz na postać całéj kreacji, płynącéj z atomu i jego złożeń, i z odmian siły elementarnéj, która wedle tych złożeń modyfikuje się do coraz doskonalszych objawów — i w tym poglądzie na naturę upatrujemy wielką zasługę autora. Ale zgodzić się nie możemy na wiele szczegółów, które dla tego tylko odbiegają od położonéj zasady, że je autor sporadycznie rozrzucił w dziele swojém, a w całokształt naukowy nie ujął. Jeżeli siła elementarna wyszła z Boga, pytamy słusznie, a gdzież jest ten Bóg, co on znaczy obok siły elementarnéj, która jest jedyną siłą kreacji i wszelkiéj intelligencji? Jeżeli ona wyszła z Boga z poleceniem stworzenia i stwarzania wciąż świata, nie może w niéj być drgnienia do czynu, ale raz odebrane drgnienie musiało przejść w nieustającą działalność.

Następnie jeżeli wszystkie inne, rzekłbym nieskończone co do ilości siły, są tylko odmianami owéj siły pierwotnéj, to i w nich dla téj jedności sił pochodnych z pierwotną nie można przypuszczać spoczynku, z któregoby siłę jakieś drgnienie w niéj saméj do czynu wywoływało, ale trzeba przyjąć nieustające działanie do pewnych przez mądrość Bożą wytkniętych celów. Jeżeli widzimy głaz martwy, nie powiemy, żeby tam siły były w spoczynku. Wszystkie jego właściwości, że istnieją, są skutkiem działających w nim sił, inaczéj rozleciećby się musiał na atomy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Słówko o krytyce pism perjodycznych.

Pospolitemi są u nas, słuszne zresztą, narzekania na brak krytyki, nie myślimy więc w tym artykule rozwodzić skarg z tego tematu. Jakąkolwiek przecież jest nasza krytyka, nie można zaprzeczyć jéj bytu, gdyż jego dowodem są legjony autorów skrytykowanych albo wyniesionych pod niebiosa, — czy zawsze słusznie?... to inne pytanie.

Przyjmujemy zatem za fakt, że krytyka w naszém piśmiennictwie istnieje, chociaż pod wieloma względami nie odpowiada swojemu zadaniu, i chcemy tutaj zwrócić uwagę na jeden z jéj działów, najmniéj podobno uprawiany.

Rzadkiem to jest zjawiskiem w ogóle, żeby recenzent zamiast pojedynczéj pracy jakiego autora, brał pod rozbiór rocznik albo zbiór z pewnego okresu jakiego pisma literackiego. Przytrafiają się przecież i takie recenzje. My sami, chociaż pismo nasze jeszcze półrocza istnienia swego nie dobiegło, doczekaliśmy się już dwóch tego rodzaju rozbiorów, które, pomimo niejednego zarzutu, w ogólności nieźle dla nas wypadły, zwłaszcza ze względu, że w zawodzie dziennikarskim czas tak krótki, jak istnienie naszego pisma, nie wystarcza nigdy do zdobycia sobie ustalonego imienia.

Nie będziemy odpowiadali tutaj na zarzuty naszych recenzentów, dość nam będzie, gdy przyrzeczemy, że nie omieszkamy korzystać z uwag poczynionych, o ile z nich

skorzystać podobna, i gdy oświadczymy, że prócz wdzięczności żadnego innego uczucia dla sędziów naszych nie żywimy. Kiedy jednak rozbiory pism perjodycznych zaczynają wchodzić w zwyczaj, godzi nam się zastanowić, jakiemiby właściwie takie rozbiory być powinny.

Dziennik, pismo literackie, jest pracą zbiorową; składa się na każdy numer wiele piór, wiele głów, wielu ludzi, najczęściéj nie znajdujących się w jedném miejscu, nieznających się z sobą, nie wiedzących w chwili pisania artykułu, że ich prace jedna obok drugiéj spotkają się na jednym arkuszu papieru. Oprócz tego zastępu współpracowników, który zazwyczaj jest dość licznym, nieodzownym jest w każdym dzienniku pewien szczuplejszy zastęp redakcyjny, zazwyczaj z kilku, nieraz z jednego tylko człowieka złożony, którego zadaniem jest porządkować te luźne prace, gromadzić je, wybierać, utrzymywać pomiędzy niemi pewną harmonję, układać w pewien systemat, najlepiéj uwydatniający ogólną myśl dziennika, i wreszcie umieszczać w pewnéj porze, w odpowiednich ustępach. Są tu więc dwie prace, redakcyjna i pozaredakcyjna, tak mniéj więcéj jak w orkiestrze praca dyrektora i każdego oddzielnie wziętego artysty, albo jak w teatrze praca reżysera i odgrywających pojedyncze role aktorów.

Jeżeli krytyka pisma perjodycznego chce być sumienną i gruntowną powinna przedewszystkiem jak najstaranniéj odróżnić te dwie prace i każdą oddzielnie wziąć pod rozwagę, a wtedy dopiéro zdolną będzie oddać sprawiedliwość każdemu i wyjaśnić, dlaczego w daném piśmie mogą być rzeczy dobre pomimo złéj redakcji, lub rzeczy słabe pomimo redakcji najlepszéj.

Niestety, w recenzjach, jakie nam się dotychczas czytywać zdarzyło, nie widzieliśmy prawie nigdy dosyć starania o to odróżnienie dwóch czynników, których wpływ na wartość pisma jest tak rozmaitym, że gdy go dokładnéj nie poddamy analizie, zawsze dochodzić będziem do opacznych wniosków. Recenzenci nasi biorą się do krytykowania pisma perjodycznego tak jak do krytykowania książki stanowiącéj całość jednolitą. Czytając lub przeglądając zbiór numerów od początku do końca, znajdują, że pewne artykuły są dobre, inne słabe, i stosownie do większéj liczby jednych lub drugich ferują wyrok przychylny lub potępiający. Tak postępując, recenzenci, z jednéj strony zupełnie nie poddają pod rozbiór tego, co właściwie najstaranniéj rozbierać i oceniać by powinni, to jest działalności redaktorskiéj, a z drugiéj strony sami sobie utrudniają zadanie, stawiając się w konieczności wydawania powierzchownych o niejednym artykule wyroków. Nikt zapewne z równą kompetencją ocenić nie jest zdolny pracy historycznéj, belletrystycznéj, prawniczéj, ekonomicznéj, przyrodniczéj, filozoficznéj, poezji i muzycznego utworu, słowem całéj téj mozajki nauk i sztuk, jaka składać się musi na rocznik każdego pisma, chcącego posiadać jedną z najważniejszych zalet — rozmaitość. Każdy, a więc i krytyk ma swoją specjalność, każdy ma swoje coś, na czém się lepiéj zna i co lepiéj lubi, niż inne działy wiedzy i umiejętności. Ztąd sąd takiego recenzenta, poważny i kompetentny w jednych rzeczach, musi być powierzchownym i dyletanckim w innych, a tém samém nie może być dokładnym i sprawiedliwym w ogóle.

W końcu, gdybyśmy nawet i przypuścili encyklopedyczną wiedzę recenzenta, sąd taki byłby dopiéro wyrzeczeniem zdania o luźnych artykułach pisma, a nie o piśmie, zupełnie tak samo jak ktoś coby wysłuchał oddzielnie każdego członka orkiestry wykonywającego swój głos, nie mógłby na téj zasadzie powiedziéć jak ci panowie wykonają wspólnie cały utwór.

Wynika ztąd, że aby ocenić pismo perjodyczne, trzeba przedewszystkiém i głównie rozbierać pracę redakcji. Rozbiór pojedynczych prac umieszczanych w piśmie można albo podać oddzielnie, w dalszym ciągu recenzji, tak jak krytycy teatralni po rozbiorze sztuki piszą o grze artystów, albo pozostawić specjalnym piórom, jeżeli niektóre z nich przekraczają kompetencję recenzenta. W każdym razie pierwsza i baczniejsza uwaga powinna być zwróconą na to, co jest duszą pisma, co je wiąże albo wiązać powinno w całość organiczną, nie na szczegóły, które w jednym numerze lepsze a w innym gorsze być mogą i muszą, co jednak na wartość pisma o tyle tylko wpływa, o ile jest wynikiem kierunku a nie przypadku.

Ażeby podjąć się takiego rozbioru i módz się z niego należycie wywiązać, recenzent pisma perjodycznego winien koniecznie znać przynajmniej teoretycznie, to jest z głębszego zastanowienia się nad tym przedmiotem, a jeszcze lepiéj i praktycznie, to jest z doświadczenia, sztukę prowadzenia pisma, zawód redaktorski.

A nie jest to bynajmniéj tak łatwa sztuka ten zawód redaktorski, jak się niejednemu wydaje.

Dopóki idzie o wytknięcie kierunku pismu, o danie mu programu, o nakreślenie granic, w których pismo ma się zamykać i wskazanie celu, do którego ma dążyć, jeszcze to rzecz łatwa. Są ludzie tak już w to wprawieni, że gotowi codzień pisać program dla inakszego pisma i wszystkie te programy będą wcale dobre.

Ale na tém nie koniec pracy redaktorskiéj. Właściwie zaczyna się ona dopiéro po zrobieniu tego wstępnego, przygotowawczego kroku.

Pierwszém zadaniem, jakie się nasuwa jest zgromadzenie współpracowników. Trzeba umiéć pozyskać ludzi znanych w piśmiennictwie, trzeba umiéć zachęcić pióra młode a zdolne, żeby w szpaltach dziennika próbowały swych sił. Pozyskawszy jednych i drugich, trzeba ich utrzymać w granicach programu pisma, oraz utrzymać ich przy piśmie, to jest nie zboczyć dla współpracowników z wytkniętego sobie kierunku, i nie pozbawić się piór zdolnych, które się już pozyskało.

Tutaj praca redakcyjna jest największą, choć ta jéj strona najmniéj jest dla czytelników widoczną, przenosi się raczéj na pole stosunków towarzyskich z ludźmi, częstokroć bardzo drażliwymi, oraz na pole stosunków finansowych, zawsze bardzo drażliwych i bardzo potężnych. Jedyną tutaj bussolą dla redaktora, żeby się nie zbłąkał jest takt. Kto go nie posiada będzie zawsze redaktorem partaczem, kto go ma, może być redaktorem wybornym, chociażby nigdy ani jednego wiersza do dziennika swego nie napisał.

Takt ten niesłychanie także jest potrzebnym do umiejętnego rozgraniczenia odpowiedzialności moralnéj przed publicznością i krytyką. Wiadomo, że każdy autor jest odpowiedzialnym przed publicznością i krytyką za to co pisze i podpisuje, każda redakcja za to, co umieszcza w swém piśmie. Zdarzają się zatem prace, za które i redakcja i autor przyjmują na siebie odpowiedzialność, nie w równéj jednakże mierze. Pierwsza spada ona na autora, zwłaszcza téż, jeżeli ten autor ma barki dosyć silne, aby ją dźwignąć, jeżeli ma już ustalone imię. Redakcja często zmuszoną jest drukować nawet większą pracę, która jéj się nie podoba, która niebardzo do ram pisma przypada, któréj autor nie począł w szczęśliwéj chwili swojego natchnienia, jedynie tylko dlatego, żeby nie stracić współpracownika, któremu raz mogło się nie powieść, ale który dziesięć razy następnie udatną pracą wynagrodzić to jest zdolny. Zdarza się także, że z tych samych powodów redakcja umieszcza pracę, którą nabyła przed ukończeniem, a nawet przed rozpoczęciem, dlatego tylko, że jest ona płodem autora, którego utwory są powszechnie lubione i rozrywane.

Powié kto może, że dobry redaktor na takie położenie zgodzić się nie może, że musi naprzód czytać wszystko to, co myśli drukować, że powinien zmienia

albo żądać od autorów zmiany lub opuszczenia ustępów, które mu się nie podobają, że pracę nie dość udatną powinien rzucać do kosza, chociażby nawet wyszła z pod najznakomitszego pióra. Wystarcza jednak najpobieżniejsza znajomość redaktorskiego zawodu, aby na to odpowiedzieć, że ktoby chciał tak postępować byłby właśnie redaktorem najgorszym.

Czy kto jest znakomitym autorem, czy piérwszy raz dopiéro pióro bierze do ręki, ażeby wystąpić publicznie, pisząc wyraża swoje przekonania i lekceważyłby siebie samego oraz opinje za które walczy, gdyby w tych przekonaniach pozwalał komu innemu robić jakiéś modyfikacje. Redaktor, jeżeli żąda zmiany, musi tak przełożyć jéj potrzebę, aby ją współpracownik uznał za konieczną, inaczéj nikt się nie zgodzi na przeistaczanie swych myśli. Otóż niezawsze jest możebném nagiąć czyje zdanie do swego, i jeżeli się to nie uda, to albo trzeba się wyrzec artykułu, albo zdaniu cudzemu zostawić niepodległość, zdając za nie odpowiedzialność na autora. Gdyby redaktor się upierał przy swojém najlepsi jego współpracownicy, ci właśnie którzy walczą piórem za pewne idee, opuściliby go bardzo prędko, a pozostałaby mu tylko armja chorągiewek, ludzi piszących dlatego jedynie, żeby ich imię figurowało w dzienniku, lub żeby za pewną liczbę napisanych wierszy otrzymać umówione honorarjum. Czy sam, czy z takimi współpracownikami, redaktor nie mógłby wydawać dobrego dziennika, — jest to, zdaje nam się, tak jasném, że tego nawet dowodzić nie widzimy potrzeby. Kto chce wydawać dobre pismo nie może ani polegać na samych tylko własnych siłach, bo te w każdym razie okazałyby się niedostatecznemi, ani téż ograniczać się na współpracownictwie wyrobników piórowych, piszących artykuły od łokcia.

Któż jednak jest sędzią decydującym o granicach téj dwojakiéj odpowiedzialności: redaktorskiéj i autorskiéj? Kto rozstrzyga czy panu N. N. wolno napisać coś, co się z dążnością pisma nie zgadza, dlatego, że zdanie pana N. N. zbyt jest szanowne, choć zdaniu redakcji przeciwne żeby się je tłumić godziło? że panu X. X. wolno być czasem trochę dla pisma za ciężkim, a panu Y. Y. za lekkim, bo inne artykuły tych panów są właśnie pisma ozdobą? Kto orzeka czy można od pana Z. Z. zażądać powieści lub innéj pracy, kiedy takie zażądanie jest już z konieczności zobowiązaniem się do zamieszczenia tego, co pan Z. Z. napisze, a czego się nie czytało?

O tém wszystkiém decyduje jedynie takt redaktorski.

Umiéć ten takt ocenić jest zadaniem, a zatém i obowiązkiem krytyka pisma perjodycznego, ważniejszym nierównie niż rozbieranie pojedynczych artykułów. Dowiedzmy się z recenzji czy redakcja pisma wytknęła sobie pewien cel, pewne zadanie, czy to zadanie jest stosowném, czy o niém pamięta i nie spuszcza go z oczu, czy w imię jego zdołała skupić około siebie dostateczny zastęp współpracowników, czy rozbudziła ruch literacki, czy poruszała kwestje będące na porządku dziennym, czy nie pomijała z nich jednych, a drugim nie oddawała się zbyt wyłącznie, czy nie zaniedbywała działów koniecznych do wypełnienia programu, lub jednych nie rozszerzała z krzywdą drugich, czy stałe działy pisma poobsadzała współpracownikami posiadającymi odpowiednie zdolności, czy na korespondentów powołało ludzi rozumiejących zadanie korespondenta, czy w krytyce zachowała bezstronność, w tonie odezwań się lub polemiki godność, w utworach belletrystycznych przyzwoitość, w języku poprawność, czy dbała o urozmaicenia pisma, czy zachowała ład i systemat w układzie dziennika, czy nie zaniedbała strony techniczném swego przedsięwzięcia, czy pamiętała zawsze o tém gdzie i dla kogo pisze i t. d. i t. d. dowiedzmy się tego wszystkiego, powtarzamy, a dowiemy się czy pismo jest dobre czy złe, a nadto będziemy wiedzieli co uczynić należy, aby, jeśli jest złe zrobić je dobrém, a jeśli dobre jeszcze lepszém.

Z sądu o pojedynczych artykułach redakcja nie dowié się nic. Jest to dla niéj nauką na wczoraj, rozumowaniem o tém co się stało i co się już odstać nie może. Dla kierowników pisma takie rozbiory są bez najmniejszego znaczenia, a nawet samym autorom nie przynoszą pożytku, dlatego że z konieczności, mając do rozbioru mnóstwo prac różnego rodzaju, recenzent spieszyć się musi i o każdéj dla braku miejsca tylko bardzo aforystycznie wypowiadać swoje zdanie, jak już dowiedliśmy niezawsze kompetentne, więc najczęściéj się zdarza, że z dodania dwóch takich rezenzji wypada w rezultacie zero. Tak np. jeden recenzent powié o pracy jakiéj, że „z przyjemnością się czyta, albowiem dobrze jest pisana,“ a drugi, że jest „straszliwie nudna,“ cóż ma z takiemi zdaniami robić autor? Musi pozostać przy swojéj opinji, którą mu dyktuje miłość własna, a od krytyków dowiaduje się tylko tyle, że rozmaite są sądy ludzkie, i że de gustibus non est disputandum.

Pragnęlibyśmy szczerze, ażeby o usiłowaniach naszych tego rodzaju zdanie, osnute, nie na przelotném przebiegnięciu kartek Tygodnika, ale na głębszém wniknięciu w myśl która je układa, wyrzeczoném zostało. Wdzięczni jesteśmy i powtórnie to oświadczamy, recenzentom, którzy naszém pismem zająć się raczyli i o tych albo owych artykułach zdanie swoje wyrzekli, wdzięczni jesteśmy, bo z ich referatów może niejeden się dowié, że istniejemy i że według sił naszych służyć się staramy sprawie publicznéj, — gdybyśmy jednak doczekali się kiedy takiéj wyczerpującéj oceny pracy naszéj, bylibyśmy za nią stokroć wdzięczniejsi, byłaby ona bowiem dla nas już nie reklamą, ale nauką na przyszłość.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Powiedział to wyraźnie, a nawet na żądanie pani Tuckiéj, która uszom własnym wierzyć nie chciała, — powtórzył.

Pani Helena oniemiała.

W duchu skromności i pokory, przejęta zasadami małego rozumienia o sobie, konsyljarzowa nie uważała się godną figurować w trójce piękności, w któréj się znajdowała panna Iza, choćby w niéj była może pozostała razem z panią Porwiczową i Jadwigą. Przypuszczała zrazu, że Pilski chciał jéj bardzo zgrabnie powiedzieć impertynencję, ale mówił to i powtarzał tak dobrodusznie, że go niepodobna było posądzać o tak

daleko posunięte zuchwalstwo. Widocznie był człowiekiem, który miał gust jakiś zakazany, nic więcéj, bo mu z oczu patrzyło, a przynajmniéj pani Tucka w jego oczach czytała, że wyrażał najszczersze swoje przekonanie.

— Są gusta i guściki, — rzekła niechętnie, zdoławszy wreszcie opanować wzburzenie i przyjść do głosu, — panna Iza nie każdemu podobać się może, to pewna, alem ja jéj zawsze mówiła, żeby nie traciła nadziei...

— I słusznie, łaskawa pani, — odrzekł Pilski, tak jakby żadnéj złośliwości ani urazy w słowach doktorowéj nie dostrzegał.

— W istocie, bo nie ma towaru, na któryby się kupiec nie znalazł... — prawiła daléj, ledwie nie trzęsąca się ze złości, pani Helena.

— To prawda, święta prawda, pani dobrodziejko.

— Mówiono mi coś nawet, — pastwiła się daléj konsyljarzowa nad gościem, który na wszystkie pociski jéj rozdrażnienia tak okazywał się nieczułym, że go nawet apetyt nie odstępował, — mówiono mi nawet, że drobne oczki panny Izy dosyć głęboko zajrzały panu sąsiadowi do serca.

Pani Tucka była przekonaną, że zaczynając z téj beczki wywoła protestację Pilskiego, a może go rozgniewa i zmusi do cofnięcia pochwał, jakiemi pannę Izę obsypał. Ale gość najobojętniéj w świecie wysluchał jéj słów i gdy skończyła, zapytał:

— Rzeczywiście tak mówiono pani dobrodziejce?...

— Doprawdy... wspominała panna Petronela, — łagodniéj nieco potwierdziła doktorowa, — ale ja to uważam za bajkę.

— Przysłowie mówi, że w każdéj bajce jest połowa prawdy, łaskawa pani, — odparł poważnie Pilski.

— Więc pan się przyznajesz?...

— Do połowy tylko, pani dobrodziejko, do połowy...

W głosie Pilskiego nie można się było dosłuchać ani cienia ironji, ani homeopatycznego rozcieńczenia szyderstwa, — widocznie chciał żeby mu uwierzono.

Znając już cokolwiek charakter pani Tuckiéj, łatwo pojmiemy jak ją to usposobiło i dla gościa i dla biednéj panny Izy. Nietylko nie zatrzymywała dłużéj sąsiada; ale nawet napomknęła coś o zajęciach, co go skłoniło do wzięcia za kapelusz i wyniesienia się czémprędzéj. Na odchodném nie odprowadziła go do drzwi, jak poprzednio, lecz pozostała na miejscu, rozmyślając już o tém, jak trzeciéj gracji Babiéj wyspy dokuczyć.

Pilski wyszedł, wyszedłszy zatarł ręce i rzekł do siebie zadowolony:

— No! teraz nadokuczałem babie... aż mi lżéj!...

Tym razem nikt go nie szpiegował. Serduszko panny Izy było zbyt zbolałe, żeby o czémś podobném myśleć mogła, a ciocia Petronela i Kazia, uważały wizytę jego u doktorowéj, po ucałowaniach rączek, które zakończyły pierwsze odwiedziny, za coś zbyt naturalnego, żeby tém warto było głowy sobie zaprzątać.

Mimo to przecież, w parę chwil potém zaczęto się już na Babiéj wyspie domyślać, że między doktorową a Pilskim coś nieprzyjemnego zaszło.

Powód do tych domysłów dała sama pani konsyljarzowa, która wkrótce po odejściu Pilskiego, zobaczywszy ciocię Petronelę na podwórzu, otworzyła okno, zaczęła z nią rozmowę i w téj rozmowie, tak sobie, z niechcenia, półgłosem, nawiasowo, wtrąciła wyrażenie:

— Ten nowy nasz sąsiad, to oryginał... za biletami pokazywać go warto.

Słowa te były powiedziane tonem, który bynajmniéj nie oznaczał sympatji.

Poczciwa ciocia Petronela zaciekawiła się tém niezmiernie i uczuła żywą ochotę wybadania, co panią Tucką skłonić mogło do wyrzeczenia tak nieprzychylnego sądu.

— Oryginał?... nie zdaje mi się, — odrzekła, — ja w nim nic tak szczególnego nie widzę.

— Niech sobie panna Petronela wystawi tylko, — prawiła daléj pani Tucka, — był u mnie i przyznał mi się...

— Przyznał się pani?... do czego się przyznał?... na miłość boską, pani.. powiedz pani do czego się przyznał.

— Ależ powiem... dla czegóżbym nie miała powiedziéć? — cedziła zwolna pani Tucka, jakby chciała wziąć na tortury biedną starą ciekawską, — przyznał mi się że to wcale nie bajka, że on myśli...

Tu pani Tucka urwała.

— Że myśli?.. że co myśli, kochana pani?.... powiedz-że pani co on myśli....

— Że myśli.... ale nie.... tego nie powiem, — rozmyśliła się pani Helena.

— Czemu?...

— Zastanowiłam się, żem nie powinna zdradzać jego tajemnic, chociaż to taki oryginał, że aż śmiech bierze.

To mówiąc doktorowa zakryła sobie usta chusteczką, jakby jéj się rzeczywiście na śmiech zbierało, chociaż ktoby w téj chwili naprawdę zdołał uśmiech na jéj zagniewane lica wywołać, mógłby się śmiało ubiegać o palmę pierwszego w świecie humorysty.

— Ależ ja nikomu nie powiem, jak panią szanuję, nikomu, — zaklinała ją ciocia Petronela.

— Ja wiem, ale nie mogę.. nie powinnam, — uparła się pani Helena.

Dla takich osób jak ciocia Petronela największą męczarnią jest usłyszéć o czémś, a nie dowiedziéć się całéj sprawy aż do końca. Biedaczka stała jak na szpilkach, pragnąc w oczach mówiącéj wyczytać słowo zagadki, ale pani Tucka nie myślała zdradzać do reszty tajemnicy, którą sama zmyśliła i którą wydała już w połowie. Niedopowiedzenie było oczywiście jéj planem, chciała trochę udręczyć pannę Petronelę, a może liczyła na to, że jéj bujna fantazja po swojemu dorabiając koniec, stworzy bajeczkę, która śmiesznością okryje oryginalnego sąsiada i uznawaną przezeń za piękność pannę Izę.

Jeżeli na to pani Tucka liczyła, to jéj rachuba nie zawiodła. Ciocia Petronela, pozostawiona swoim własnym domysłom, usiadła na ławeczce w ogródku, kombinowała, obliczała, wnioskowała, kojarzyła z sobą najsprzeczniejsze wyobrażenia, aż wreszcie doszła co Pilski myśli, a ponieważ powiedział pani Tuckiéj co myśli, więc doszła co jéj powiedział.

Jakim łańcuchem rozumowań i wywodów doszła do tego wniosku, tego się nie podejmujemy przedstawić, tyle tylko wiemy, że wniosek ten, jak każdy rezultat swoich domysłów i przypuszczeń, przyjęła za prawdę najoczywistszą, za fakt stanowczy, za coś o czém nikt wątpić nie może. Tak samo pierwszego dnia po sprowadzeniu się nowych lokatorów była pewną, że Jadwiga jest baronówną, a Pilski był kucharzem u jéj rodziców.

Wniosek cioci Petroneli tą razą był nadzwyczaj oryginalny:

— On myśli że Izia go nie kocha i chce sobie życie odebrać.

Cała romantyczna strona staropanieństwa wcieloną była w tym domyśle. Biedna ciocia aż cichą łzę uroniła, gdy jéj ta banialuka przyszła do głowy.

— Kto wié, — mówiła sobie, — może to i ze mną kiedyś, przed laty tak było... wszakże nieraz w mém sercu, które teraz uschło i zwiędło, odzywało się żywsze uczucie, którego nikt nie podzielał... dla czego nie podzielał?... któż wié czy nie dla tego, że nie przypuszczał, iż to uczucie istnieje, tak jak on teraz miłości Izi

nie przypuszcza?... i któż wié czy się nie chciał zabić, tak jak on teraz?... Dla mnie wprawdzie nikt się nie zabił, jestem tego pewna, że nikt, ale niejeden mógł chcieć odebrać sobie życie, sądząc iż nie byłabym zdolną go pokochać, a jeżeli chciał odebrać sobie życie, to przechodzić musiał takie okropne chwile, jakie on teraz zapewne przechodzi.

Ciocia miała w gruncie serce poczciwe, a już na romansowe niedole panien, którym się nie wiodło zamążpójście, była zawsze nadzwyczaj tkliwa. Zdawało jéj się, że koniecznie potrzeba zaradzić nieszczęściu, jakie zagrażało pannie Izie, że trzeba usunąć katastrofę, która mogła przeciąć życie Pilskiego.

Obmyślała środki ratunku, konferowała po kolei z każdą z trzech panien Rękalskich, którym pod sekretem największym każdéj z osobna powierzyła to, co według jéj domysłu Pilski powiedział pani Tuckiéj, wygadała się nawet, również w tajemnicy, przed Kazią, kręciła się przez cały dzień aż do wieczora, i nie spoczęła dopóki nie obmyśliła sobie jakiegoś planu.

Panny Rękalskie, usłyszawszy straszną nowinę z ust cioci Petroneli, nie przeraziły się bynajmniéj tak okropnie, jak ona. Przywykły one już od dawien dawna brać za dobrą monetę tylko mniejszą połowę tego, co im ciocia Petronela mówiła. Tutaj mniejsza połowa nie była nawet wcale przerażającą. Chęć odebrania sobie życia poczytały za najwierutniejszą bajkę, uwierzyły tylko w to, że sąsiad nie wié że jest kochanym. Smutna to była rzecz, że był takim niedomyślnym, ale ta rzecz smutna miała także swoją stronę wesołą i pomyślną, — skoro się kłopotał tą niepewnością i skarżył przed obcymi, widocznem było, że téj pewności pragnął, że pierwsza jego wizyta u pani Tuckiéj niepotrzebnych tylko obaw narobiła pannie Izie.

Wszystkie trzy siostry nabrały zatém dobréj otuchy i myślały tylko o tém, jakby sąsiada najgładziéj zawiadomić, że jest kochanym. Przez część dnia wprawiało je to w kłopot i zamyślenie, ale po południu były już swobodne i wesołe, — widać, że środek wynalazły.

Kazia dowiedziawszy się o co chodzi, nie zamyśliła się ani na chwilę. Widać, że nie myślała wcale o usuwaniu wątpliwości Pilskiego.

Dzień ten zakończył się zatém jak najlepszym humorem panien Rękalskich, cioci Petroneli i Kazi. Pogodę tego humoru mącił im tylko i zakłócał niekiedy widok pani Tuckiéj, któréj przebaczyć nie mogły, że nazwała Pilskiego oryginałem i że za biletami pokazywać go radziła. To też ilekroć pani Tucka ukazała się w oknie, w ogródku albo na podwórzu, panny posępniały i mierzyły ją zdaleka spojrzeniami wyrzutu i urazy.

Doktorowa tryumfowała, że im potrafiła dokuczyć.

X.

Na Babiéj wyspie dzieją się rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

Pilskiemu naprawdę lżéj się zrobiło, gdy nadokuczał pani Tuckiéj. Zadowolona złośliwość dała mu pokój, przestał myśléć o Babiéj wyspie, która go opasała kordonem plotek, o konsyljarzowéj, z którą się rozszedł przed chwilą, o jéj małżonku, który go postanowił z przyrodzonego usposobienia wyleczyć, o pannie Izie, z którą go swatano, o jéj siostrach i o jéj ojcu, który w nim znakomitość naukową dopatrzył, o Kazi, która go stosownie do chwilowego humoru, gniewała, bawiła lub zdumiewała, a nawet o téj, o któréj najmniéj myśléć lubił, o tajemniczéj sąsiadce, która jednocześnie z nim sprowadziła się pod jeden dach, i któréj widok lub wspomnienie tak fatalnie oddziaływały na jego nerwy.

Wpadł w ten stan błogiego far niente, w którym człowiekowi nie chce się ruszać ani ciałem ani duchem, w ten stan bezwładności przyjemnéj, w którym najsilniejsze nawet wrażenia gotowiśmy przepuszczać przed oczyma obojętnie...

W takim stanie spędził czas długi, potem usnął nie wiedząc kiedy i nie rozbiérając się, i tak doczekał aż do nocy, zapomniawszy zupełnie o pigułkach, które miał sobie kazać przyrządzić, aby je zacząć zażywać nazajutrz w odwrotnym od przepisanego przez doktora porządku.

Była już noc dosyć późna, godzina duchów może, gdy się przebudził.

Przebudzenia to jednak nie było naturalne, czuł, że widocznie coś go zbudziło. Zdawało mu się jakby jakiś głos głuchy, tłumiony, jęczący, grobowy, z innego świata, dobiegał do jego uszu.

Spał nie na łóżku lecz na kanapce, nie rozebrany lecz w ubraniu, snem dosyć twardym, z którego rozbudzonym został nagle, doznał więc takiego wrażenia, jakiego się zwykle doznaje budząc się w takich okolicznościach.

Przedewszystkiém przez chwilę nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie jest. Okno było nie na swojém miejscu, topográfja własnego mieszkania pomięszała mu się w głowie, rozmarzonemu przytém ten głos dziwny, który go niewiedzieć zkąd dochodził, wydawał się jeszcze dziwniejszym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z pośmiertnych dum

Tadeusza Komara.

Północna dumka.

Niby Boga się ulękli,
Zbiry kornie czapki zdjęli,
I szeptali — w głos nie śmieli:
„Ha, na wolę uszedł ptaszek!
„Żal!... a taki hoży Laszek!
Bieda! marnie przepadł sam
I narobił licha nam!
Buntowniczy lacki duch,
Nie chciał służyć, ale zuch!
Nasz pułkownik będzie zły!“
I na strzelby trupa wzięli,
Po swojemu niosąc klęli,
Ale w oczach mieli łzy!“

„Smutno! słysząc, boli słuch,
Ale wzbiera krew i duch!
Więc za wieść tę dzięki ci!
Lśni w pomroku mglistym zła,
Jak z ofiarnych stosów skra!
Więcéj mów, o więcéj, mi!“

„Z biegunowych moich leż,
Aż po brzegi czterech mórz
Pohulałem wzdłuż i wszerz,
Przewionąłem wszerz i wzdłuż,
Niby wieszczy zwiastun złego,
Lasy gnąc niby źdźbła słomy,

Od Kaukazu zgwałconego
Aż po carskiéj gród Sodomy
Przewionąłem, pohulałem
I widziałem i słyszałem!“

„I widziałem, ludzi-bydło,
Jak bez serca i bez duszy
Zatapiali się po uszy
W gnuśnych rozpust pleśń obrzydłą,
A tuż stała krwawa nędza,
Niby jutra wieszczka-jędza,
A ich miano: służki cara
A służebność — to ich wiara!“

„I słyszałem klątw miljony,
Za duch boży, znieważony
Chłostą w bożych stworzeń ciele,
W polu, prawach i w kościele ..
Och, miljony jęków, skarg
Ze skąszonych, spiekłych warg
Wyzioniętych w nocnéj ciszy,
W trwodze, zdrajca czy nie słyszy!“

„Jam je wszystkie w siebie wziął
W jedno, wściekłe wycie zmiął,
Niby szpieg, choć nie proszony,
Ani złotem zapłacony,
Ja zaniosłem je carowi
Jako szpiegów kapłanowi!
Zbudzon ze snu car się wstrząsł...
Próżno w miękkie puchy grzązł,
Bom gwizdał mu pod oknami
I skargami i jękami!
Więc zwał z dworni swojéj psiarzy,
By stanęli w drzwiach na straży
I trwożliwie szeptał: czuję,
Że się jakiś bunt gotuje!...
Słyszę niby polski śpiew!
Czyżby wolnodumstwa gad,
Sprawą Lachów, wlał swój jad
W carosławnéj Moskwy krew?“

„Za twą powieść dzięki ci!
Więcéj mów, o więcéj, mi!
Cóż car robi?“

„Pije car,
By złych myśli zgłuszyć gwar.
Jako carskiéj śpiewki wtór
Rozpustuje carski dwór,
W płochych pląsach na wulkanie!
Lecz co ma się stać, to stanie
Samo przez się, zaniebawem
W już brzasnącém jutrze krwawém.“

„Z pod katorżnych młotów skry,
Pośród ćmiącéj ducha mgły,
Którą płodzi carska wiara,
Ta krew ludu ssąca mara,
Iskrzą, lecą, aż rozniecą
Taki pożar, tak rumiany,
Szałem zniszczeń tak pijany,
Że i cała powódź krwi,
Z gniewów carskich uragany
Zalać, zgasić już nie zdoła!...
I sąd straszny dziać się będzie!...
Aż nim Bóg sam: „dość!“ zawoła,
Lepszéj wieści szląc anioła,
Co na zgliszczach gruzów siędzie,
Skrzydłem dymy porozgania,
I jak poseł pojednania
Po dniu białym wieścić będzie:
„Pokój ludziom dobréj woli!
Święć się dobo wolnéj doli!“

„I stanie się wolny cud!
Carosławnéj Moskwy lud
Wstydnie w ziemię niżąc czoło,
Odymioną poda dłoń,
Jak wolnemu sąsiadowi,
Lachowi i Rusinowi,
Rzekąc: przebacz, w imię Boga!
Zgiń, przepadnij, waśni wroga,
Co nią wzajem wiek tak długi
Szczuły płatne carskie sługi!“

„I świat młody raźniéj tchnie,
Niby po zaklętym śnie,
Gorączkowéj śnie bezsiły
Gdzie się cztery biedy śniły!“

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Jeżeli kiedy nasza wiosna nie była idealną, to pewnie tego roku; nie zbliżała się ona w niczém do prototypu wiosny, kochanki poetów, przeciwnie mroziła nam swym chłodem wszelką myśl weselszą, swobodniejszą. Ztąd też cały ustrój naszego miasteczka w tym czasie, nosił na sobie ślady albiońskiego spleen'u, wyniku mgły i deszczów; szczęściem równo z promieńmi słońca, które wreszcie, jak każda prawda, zwyciężyło, nowe życie poczyna pulsować w murach Poznania. Chcąc być ściśle prawdziwym dodać tu muszę, że do dziś przyrzeczeniami tylko zadowolnić się trzeba, ale i to coś znaczy przecie, — nie ma więc u nas większego ruchu i życia, ale jest jego zapowiedź, która niebawem stanie się czynem. Już to naprzód św. Jan jak zazwyczaj zaleje ulice i zapełni hotele napływową ludnością, zasypie wszelkie przejścia pokładami wełny, świadczącéj, jak kraj mógłby rozwinąć swój dobrobyt gdyby téj wełny nie wysyłał do obcych na to, aby za wracającą w postaci wyrobu dziesięć razy tyle zapłacić, ile dostał. Potém słychać już zdala odgłos różnych koncertów, którym przewodniczy tradycyjnie w tym czasie, na rzecz nędzy naszego miasta, dawany koncert w sali miejskiego teatru. Z pośród orszaku owych koncertów te, za których pewność dojścia do skutku, ręczyć mogę kronikarskiém słowem, wymieniam: koncert pana Taborowskiego, skrzypka, który swym smyczkiem zachwycał Galicję, jak to z rozmaitych tamecznych pism wyczytaliśmy. Nie będąc zwolennikami bezwarunkowéj admiracji, a cóż dopiéro na niewidziane, czyli, jak tu, na niesłyszane, nie chcemy z zamkniętemi oczyma powtarzać pochwał innych, ale szczerze cieszylibyśmy się gdyby oceny tych, co stawiają p. Taborowskiego na równi z pierwszorzędnymi Niemiec skrzypkami, okazały się prawdziwe; wówczas razem z całém Poznańskiém, co tak chętnie przyklaskuje każdemu prawdziwemu talentowi,— cóż dopiéro talentowi rodaka! — złączylibyśmy nasze pochwały i oklaski. — W tymże samym czasie przybywa także p. Alexander Chodecki, znany w Królestwie ze swych deklamacyjno-muzykalnych koncertów. Zamiast wszelkich objaśnień o rodzaju tych koncertów, pozwalam tu sobie przytoczyć wiersz Jadwigi Łuszczewskiéj (Deotymy), napisany do p. Chodeckiego:

Życie jest wirem nieskończonych ruchów;
Na szczycie wszystkich sił jakie ruch budzi

Stoją dwie: słowo, ta muzyka ludzi,
I muzyka, słowo duchów.

Szczęsny, kto jednéj umiał stać się panem,
Lecz ten dopiéro kto stułą duchową
W ślub wierny wiąże muzykę i słowo,
Jest godnym sztuki kapłanem.

Polecająca zaprawdę rekomendacja z ust poetki! Szczegółowém sprawozdaniem nie omieszkamy się z Wami, szanowni czytelnicy, po fakcie spełnionym podzielić. — Pozwólcie jednak, że w téj chwili odbiegnę nieco od Poznania choć nie od muzyki, nie mogę się zrzec wspomnienia wam o koncercie hr. Tarnowskiego w Wenecji, wszystkie gazety tak polskie jak włoskie wyścigają się w pochwałach i uwielbieniach. W kraju słowików, ojczyźnie muzyków, w téj Adrjatyku kochance, gdzie każdy niemal lazzarone obdarzony jest od natury pięknym głosem i doskonałym słuchem muzykalnym, gdzie często gęsto wśród ulicy usłyszysz cudny tenor za jaki dyrekcje oper innych krajów dają tysiące, w tém mieście zostać pochwalonym, a w dodatku szumnie, jest to rzecz, co najmniéj godna, zastanowienia.

Nowa więc wschodzi gwiazda, mówiąc językiem reklam, do których powtarzania nigdy a zwłaszcza w téj chwili żadnéj nie czuję ochoty, przeciwnie, jeżeli jaka mnie bierze, to już chyba chęć parodjowania tego rodzaju, tak dziś rozwielmożnionego w perjodyczném piśmiennictwie. Nowa więc wschodzi gwiazda muzyczna, a czas bo téż na nowe, gdyż stare zwolna znikają nam z horyzontu; niezbyt dawno jeszcze zmarł w Neapolu Thalberg, ten Thalberg uwielbiany, elegancki kompozytor, ten Thalberg, co wam piękne czytelniczki tyle łez w czasach pensjonarskich wycisnął gdy mimo najlepszéj woli myśl wasza i palce ustawały wśród bezustannéj łamaniny i bieganiny bez końca. A widocznie była to s p e c j a l n o ś ć jego kompozyzji bo p i e ś n i i opera „Florinda,“ do któréj libretto napisał Eugenjusz Scribe zrobiły kompletne fiasco, znać więc brakło mu melodyjności. Jako wirtuoz jednak był on bez zaprzeczenia znakomitością; — zrodzony w Genewie 1812, syn hrabiego Dietrichstein, kształcił się w muzyce pod okiem Hummla w Wiedniu, gdzie téż większą część życia przepędził uwielbiany jako koncertant, którego gra pełna biegłości i precyzji przezwyciężała najwyższe muzyczne trudności z niesłychaną łatwością i swobodą. Owoż tedy widzę zdumienie wyryte w Waszych rysach jak śmiałem obok téj uznanéj, ukoronowanéj wielkości postawić świeżo wstępującego „w ciernisty zawód artysty.“ Słyszę już ten syk zabijający: „co za śmieszność!“ ale jak Achiles nie obawiam się tego pocisku, który dla mnie nie jest uśmiercającym; mówicie śmiesznie — tém lepiéj, moja w tém zasługa żem Wam śmiech wywołał na usta, ten śmiech, który widocznie od ludzi przeszedł w humorystyczne pisma bo wśród nas coraz rzadszym on gościem. —

* * *

Od muzyki, o mój Boże, do czego ja przejdę od muzyki? — Trzeba będzie zrobić jaki skok straszliwy, — ale nie, od muzyki przejdę do tych, co ją najwięcéj kochają, uprawiają i... trapią — do kobiét. Straszneż bo zawiązano przeciw nim sprzysiężenie, zapragniono oderwać pewną ich liczbę przynajmniéj od ulubionych fortepianów, romansów, tradycyjnéj kanwy, która szczęściem dziś już wyszła z mody, bo wiele zabierała czasu i oczu, od wprawy w obce języki i tym podobnych pożytecznych zajęć. Tak jest, znalazło się gronko ludzi w księstwie, co zapragnęli radykalnego w wychowaniu umysłowém kobiét w przyszłości przewrotu, do którego piérwszym krokiem, podstawą istotną jest rzetelne oświecenie klas nieukształconych narodu, gdzie nic nie potrzeba zacierać ale wprost świeżą, czystą zapisywać kartę. Wiecie już, szanowne Czytelniczki, które myśl ta żywo zajmuje, które razem ze mną pragniecie istotnego dla kobiét wykształcenia, opartego nie na odrobinie potrzebnéj, wśród tłumu nieużytecznéj nauki ale na prawdziwéj wiedzy, że pisząc to, mam na myśli wiec odbyty w Bazarze, w dniu 18 bm., w sprawie pomocy naukowéj dla dziewcząt polskich. Towarzystwo to, jak się okazało ze sprawozdania, rozporządza niezmiernie małymi funduszami, a przecież, jak wiele dobrego zdziałać by ono mogło, posiadając potrzebne ku temu środki. Za pomocą kobiéty najłatwiéj w najniższe warstwy narodu zanieść światło nauki, bo matka ukształcona da dziecku przedsmak wiedzy, któréj następnie szukać on będzie w życiu, jeżeli tylko jest człowiekiem; a syn rzetelnie ukształconéj matki nim być musi. Jakże więc małą rzeczą dla Was, szanowne panie, przyczynić się do rozwoju téj myśli, niechby tylko każda z Was na cel ten poświęcić zechciała choć parę talarów rocznie — tak niewiele; — gdy będziecie sobie kupować sukienkę kupcie ją raz i drugi o talar tańszą jakeście sobie zamierzyły, i suknia przez to na strojności nie straci boć to nic nie znacząca różnica a Wy zrobicie coś d l a i d e i.

Równocześnie w Krakowie w tymże samym celu trwają wykłady dla kobiet podzielone na dwa oddziały: gospodarczy i sztuk pięknych. Jak one jednak nie wiele jeszcze wabią słuchaczek najlepszym dowodem jest w programie świeżym postawiona cyfra 20 kobiét, jako konieczność aby się odczyty w ciągu maja rozpocząć mogły! Dodać tu trzeba, że opłata jest tak niewielką, — bo na wydziale sztuk pięknych kurs miesięczny kosztuje 4 złr. na wydziale gospodarczym 5 złr. — niemożność więc nie stanie tu za obronę.

* * *

Mamy przed sobą w téj chwili oznajmienie o wyjść mających pamiętnikach więźnia stanu, byłego posła ziemi pruskiéj na sejm berliński, Natalisa Sulerzyckiego; oznajmienie to poprzedzone jest odezwą, zatytułowaną: „Do moich przyjaciół.“ Z téj to odezwy pozwalamy sobie nieco powtórzyć, mimo że nasz korespondent z Krakowa wspomniał już o tém wydawnictwie; od ogłoszenia tych pamiętników „powstrzymywała mnie dotąd“, pisze autor, „uwaga, że za świeża jest boleść moja, z przyczyny udziału kilku, a niestety znanych z patrjotyzmu rodaków, w téj niecnéj spółce z Niemcami, co dla odmiennych zdań politycznych z wielkich przyjaciół moich, powoli przy rozbudzoném życiu narodowém do tak głośnego prześladowania przeszli, że samych Niemców upoważnili i odwagi im dodali do prześladowania na zabój. Wstrzymywała daléj pisanie tych pamiętników głównie pamięć na zacne Polki, żony tych moich, prześladowców co jak wszystkie w moich stronach poczciwe patrjotki, zawsze były i pewny jestem że i dotąd są mojemi przyjaciołkami...“

Pamiętniki więc owe sięgać będą bardzo blizkich czasów, bo „skazany na rok więzienia przez Kammergericht, wolałem w roku 1864 opuścić kraj“ — mówi autor — i znanych téż dotyczyć będą ludzi, a dla tych co pamiętają patrjarchalną postać tego zasłużonego Ojczyźnie obywatela, będzie praca jego tém więcéj zajmującą. Tym zaś, którzy nie znają téj rzadkiéj, w naszych wskroś zmaterjalizmowanych czasach, postaci, pełnéj wiary w odrodzenie Ojczyzny i w każdéj okoliczności, w każdéj świata zamieszce upatrującéj chwilę tego zmartwychpowstania, temu najlepiéj ją scharakteryzują te przytoczone tu jego własne słowa: „Losy moje są zrośnięte z losem Polski, a ponieważ ona z kataklizmu europejskiego obecnego wyjść musi odrodzona, stanę może niezadługo w oczy przeciwnikom moim, a da Bóg będę w położeniu i usposobieniu, że im jako rodakom zapomnę krzywdy doznane.“ Σ.

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

AKT II.

Scena I.

Andzia i Scholastyka.

(Dekoracja przedstawia inny pokój w domu Lichockiego. — w głębi drzwi szklanne i dwoje okien, na lewo okno i drzwi, na prawo dwoje drzwi, z których jedne osłonięte portjerą. — Przez drzwi szklanne widać szeroką ulicę lub plac).

Andzia (chodzi po pokoju.) Co to jest, że ojca nie ma?...

Scholastyka. I mój umysł stroskany pojąć tego nie może!... Niepokój wzburzył znów moje humory!... Czuję jakby uderzenia...

Andzia (przerywając.) Żeby noc całą spędzić po za domem!...

Scholastyka. I w takich burzliwych czasach! Gdy namiętności ludzkie rozhukane...

Andzia (n. s.) I Feliksa nie widać jakoś...

Scholastyka (n. s.) Czyżby pan brat z rozpaczy puścił się na manowce, nieprzyzwoitość?... oh!... A jednak!... Któż wie! pani Radcliffe opisuje starca...

Andzia (przerywając). Okropnie niespokojna jestem... Jak Ciocia myśli, czy ojciec jeszcze się na mnie gniewa?...

Scholastyka. Opłakuje głównie te tace srebrne i te dukaty...

Andzia. Ależ moja Ciociu!... krew mi do głowy uderzyła... Każdy co może daje, a ojciec (z miną) Cztery chustki na flejtuszki!...

Scholastyka. Szarpie to rzecz ważna!... moje dziecko!... W czasie konfederacji barskiéj...

Andzia (przerywając). Znam... znam tę historję... o panu Cześnikowiczu co miał dwie dziury w głowie, a Ciocia mu szarpią zalepiała... i...

Scholastyka (przerywając). Andziu!... jakkolwiek to wypadek poetyczny i niewinny, usta młodéj panny nie powinny go jednakże powtarzać....

Andzia (przerywając). No, więc dajmy pokój!... Ale niech mi też Cioteczka powié co ten ojciec ma ciągle przeciw Feliksowi....

Scholastyka. Przesądy kastowe..... moje dziecko..... w Wielkiéj Brytanji naprzykład...

Andzia (przerywając). Jakto kastowe? On mieszczanin i ja mieszczka....

Scholastyka. Tak, ale on prosty rzemieślnik... a pan brat był prezydentem... to bardzo wysoka godność... bo choć Russeau utrzymuje....

Andzia. No, ale cóż to znaczy... zresztą był prezydentem... ale nie jest....

Scholastyka. Przez intrygi złych ludzi... Ale złe czasy miną... sprawiedliwość mu będzie oddana...

Andzia. Ależ to okropność, żebym ja dla kaprysu takiego miała być przez całe życie nieszczęśliwa....

Scholastyka. Ja też tych przesądów nie dzielę... Zgadzam się w tym względzie z Jean Jaques'em...Dałam tego dowód nawet... Chciałam oddać mą rękę, jak wiesz, prostemu stolarzowi...

Andzia (śmiejąc się.) Pamiętam!... taka Ciocia była wtedy wesoła!... śmiejąca!....

Scholastyka. Oh! dobre to były czasy... (n. s.) Humory moje były tak spokojne!....

(słychać kroki.)

Andzia. Ktoś idzie!... może ojciec (ciszéj) może Feliks!..

(wchodzi Wohlmanowa — typ mieszczki.)

Scena I.

Też i Wohlmanowa.

Wohlmanowa. Jak się macie!.... jak się macie!....

Scholastyka. Witam panią prezydentową!...

Andzia. Witam panią... (Wohlmanowa całuje Andzię w czoło ściska Scholastykę za rękę.)

Wohlmanowa. A!... to już wiecie o mojéj dystancji!

Scholastyka (poprawiając.) Dystynkcji.

Wohlmanowa. Wszystko jedno... no proszę!... prawdę powiedziałszy... spodziewałam się tego...

Scholastyka. Niechże pani siada... Któżby nie wiedział!....

Wohlmanowa (siadając.) Prawdę powiedziałszy wyszłam za gęśmi... te gałganice baby tak się drożą... a tu jutro u nas feta.... wiecie.... urzędowa recap.... recap... no mniejsza o to...rozumiecie: feta!.. Mój musiał całą radę zaprosić jako nowy prezydent...

Andzia. I pani potrzeba gęsi....

Wohlmanowa. No tak... dla hałastry. . dla tych urzędników z Magistratu... gęś to najpodzielniejsza prawdę powiedziałszy. . a dla innych będzie kapłon i pieczeń huzarska... i meryngi ze śmietaną... Już to prawdę powiedziałszy ja umiem wieczerzę zadysponować....

Scholastyka. Wiem o tem....

Wohlmanowa. Ale ja wam gadam, a prawdę powiedziałszy to nie bardzo dla was przyjemnie... Ale co chcecie!.... Choć to wasz brat i ojciec... ale prawdę powiedziałszy ten pan Filip Lichocki na prezydenta nie stworzony!... co to mi za prezydent bez żony!.... ani to prezencji.... ani recap.... jak tam... no mniejsza!... ani fety... ani nic... prezydentowa to grunt!....

Scholastyka. Zapewne... ale...

Wohlmanowa. Ale już ja ci szczerze mówię... prawdę powiedziałszy, nawet Kraków tak zubożał, dlatego, że prezydentem był wdowiec. No i cóż martwicie się bardzo?...

Andzia. Oh! wcale nie!... jam bardzo kontenta nawet...

Wohlmanowa (n. s.) Aha!... gadaj zdrowa!... ledwie nie pękasz ze złości!.... (głośno) To bardzo ładnie, bardzo ładnie!... Masz rozum moje dziecko!... Na te czasy trzeba było takiego jak mój mąż... Choć prawdę powiedziałszy co to znaczą te wszystkie honory i dystancje!...

Scholastyka. Dystynkcje zapewne!...

Wohlmanowa. To wszystko jedno, tylko prawdę powiedziałszy wymowa inna... Ale... ale... Scholasiu, jakże twoje zdrowie?...

Scholastyka (ożywiając się.) Ah! kochana pani! Źle..... bardzo źle!... Byle wzruszenie a wszystko uderza do głowy....

Wohlmanowa. A widzisz serdce!.... mówiłam ci... idź za Braita... idź.... prawdę powiedziałszy pijanica to był, ale dziś radny.... a niemiałabyś teraz..... hau... hum... jak się to nazywa?...

Scholastyka. Humory.... czyli inaczéj....

Wohlmanowa. A widzisz duszko.... a widzisz..... Ale czemu się nie leczysz?...

Scholastyka. Leczyłam się... leczyłam... ale to darmo... są i są....

Wohlmanowa. No, to ja ci poradzę...

Scholastyka. Oh! jakże będę wdzięczną!....

Wohlmanowa. Do szklanki wody wléj senesu za cztery

szelągi, potem dwa zęby borsucze upalone i potłuczone, i pazur jastrzębi od prawéj nogi...

Scholastyka. Od prawéj?....

Wohlmanowa. Koniecznie... Inaczéj wszystko za nic... To wygotować na nowiu... przeżegnać się trzy razy, wypić i lewą nogą wleść do łóżka....

Scholastyka. Lewą?....

Wohlmanowa. Lewą... bo inaczéj prawdę powiedziałszy wszystko za nic....

Scholastyka. I to pomoże?....

Wohlmanowa. Ale od razu!... Honory pójdą na dół...

Scholastyka. To jest humory....

Wohlmanowa. To wszystko jedno... (do Andzi) Widzisz moje dziecko! masz przykład na ciotce!... a prawdę powiedziałszy może cię to spotkać..:

Andzia. Co?... humory?...

Wohlmanowa. Nie.... ale możesz, jak ona, rutkę siać do śmierci... prezydenctwo się skończyło to i prawdę powiedziałszy Budzyński przyśle harbuza....

Andzia. Oho! on nie taki jak inni!...

Scholastyka. Rzeczywiście...

Wohlmanowa. Ty nie znasz meszczyznów.... on już wczoraj na Grodzkiéj tak zerkał na moją Telesforkę, że aż miło i prawdę powiedziałszy, dziwić mu się nie można.... Co prezydentówna to prezydentówna!...

Andzia (rozgniewana.) Już ja się tam o pani Telesforkę nie boję....

Wohlmanowa. A patrzcie ją jeno!.... jaka harda!.... a prawdę powiedziałszy ja tu przyszłam żeby ci o tem powiedzieć... Jaka pewna!.... A ja ci mówię, że gdyby Telesforka chciała toby dostała lepszego!... Ale ona ma rozum!.... Poczeka za szlachcicem, bo teraz dzięki Bogu, równość.... No proszę!.... (do Scholastyki.) Ta Andzia prawdę powiedziałszy strasznie źle wychowana!... No... nie dziw!.... wyście zawsze zadzierały nosa!.... póki było można!....

Scholastyka i Andzia. Ale gdzież!... jak?...

Wohlmanowa. No!... ale przebaczam wam... przebaczam!... Ja tam tę dystancje przyjęłam tak sobie... piu!.... Choć co innego żona prezydenta, a co innego siostra albo córka, bo ja jestem bardzo dobra... No, do widzenia moje duszki, do widzenia. (wracając się) Ale ale... pożyczcie mi cztery rondle i parę lichtarzów, tylko niech będą czyste, bo prawdę powiedziałszy u was nieporządek.... Do widzenia serce!... (wychodząc ode drzwi) A pamiętaj Scholasiu! od prawéj łapki pazurek!...

Scena III.

Scholastyka — Andzia.

Scholastyka. Nieporządek!... no proszę! nieporządek!... Humory mi do głowy uderzają!....

Andzia. Nieznośna baba!...

Scholastyka. Zawsze mówi dystancja, zamiast dystynkcja!... fe!... ordynarna dama... przypomina mi jedną z postaci pani Radcliffe... W pewnym zamku szkockim....

Scena IV.

Też i Feliks.

Feliks (zaglądając przez drzwi lewéj strony.) Pana prezydenta niema?.... mogę wejść.

Andzia (biegnąc ku niemu.) Można... można... nie widziałeś pan ojca?....

Feliks. Nie... czy niewrócił?...

Scholastyka. Pan Filip nie wrócił do téj pory... a tu już zbliża się godzina obiadowa.

Feliks. Ah! wiem! bramy były zamknięte w nocy.... Nocował pewno na przedmieściu...

Andzia. Biedny ojciec!... (z dąsem) Ależ i pan tak dawno nie byłeś?.... Podobno Telesforka Wohlman była tak szczęśliwą....

Feliks. Co znowu?... Zkąd Telesforka?....

Andzia. Jéj mamunia pana wydała!..

Feliks. Ha!... ha!... ha... Nos taki!... a chuda!... no chuda!....

Andzia. Nie umizgałeś się pan do niéj?... z pewnością?...

Feliks (całując jéj ręce.) Oh! droga panno Anno!.. mogłażeś przypuszczać? Ty i ona!... Tylko roboty tyle, że i teraz ledwo wyrwałem się na chwilkę!...

Andzia. No!... cóż to takiego...

Feliks. Ah! wszystko co pani chce! Radość, praca, mustra!... Całą noc pracowałem w warsztacie naprawiając stare strzelby i szable... jak świt na mustrę. Był u nas pan Kościuszko!... Ah! co to za człowiek, (z uniesieniem).... Co za człowiek!.... potem kopać wały!... potem wartę odbywać... potem znów mustra i robota w warsztacie!...

Scholastyka. Ależ to ludzkie siły nie wystarczą!...

Feliks. Tak się to zdaje niby!... pot się z czoła leje, ręce opadają... oczy się kleją... ale jak człowiek wspomni sobie, na co ta robota, a jak pomyśli, że to pan Kościuszko prowadzi, to jakby się narodził.... i siły są i ochota!... (z uczuciem) panno Anno ja pannę Bóg widzi miłuję całą duszą, ale ojczyznę i pana Kościuszkę jeszcze więcéj podobno!....

Andzia. Myślisz pan, że ja się gniewam o to?... Otóż nie!.... (ciszéj) I gdyby nie ciocia tobym pana za te słowa... uściskała.

Feliks. E, i przy cioci!....

Andzia. O! nie!... ona powiada, że to godności panieńskiéj szkodzi!....

Scholastyka (n. s.) Senesu za cztery szelągi... dwa zęby borsucze...

Andzia. No, a z ojcem mówiłeś pan wczoraj?....

Feliks (smutnie.) Mówiłem... ale to na nic...

Andzia. Przecież już nie jest prezydentem....

Feliks. Jeszcze gorszy teraz... nazwał mnie Jakóbinem, wichrzycielem.... powtórzył zakaz bywania tutaj....

Andzia (łamiąc ręce.) Co tu robić!... co robić!...

Scholastyka. Cierpliwość i posłuszeństwo są ozdobą płci niewieściéj i nawet.... znakomity Russeau....

Andzia (przerywając). Pozwala zostać starą panną.. Dziękuję....

Scholastyka (n. s.) Prawda!..... to rzecz niemiła..... zwłaszcza...

Feliks. Więc cóż?...

Andzia. Trzymaj się pan przy swojém...

Feliks. Dobrze.... ale kiedy bo...

Andzia. Co kiedy bo?...

Feliks. Za parę dni wyjdziemy z Kościuszką pod Warszawę....

Andzia (ze łzami.) A ojciec mnie tu zmusi iść za kogo innego....

Feliks. Mój Boże... Mój Boże!... co począć?....

Andzia (płacząc.) Oh! ja nieszczęśliwa!...

Scholastyka (n. s.) Jakże to rozrzewniające!.... Zaraz czuję uderzenia do głowy.....

(słychać ciężkie kroki.)

Andzia. Papa idzie!....

Scholastyka. Uciekaj panie Feliksie!..... na Boga!.... uciekaj... pan brat, by powiedział, że to ja temu winna!... (Feliks wybiega na prawo.)

Andzia. Boże mój!.... co tu począć!...

Scholastyka. Cierpliwość i posłusz... (szklannemi drzwiami wchodzi Lichocki zablocony, blady, włosy w nieładzie, na ramieniu rydel.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Zakopane.

Do niedawna, bo zaledwie lat kilkanaście, kto chciał zwiedzić Tatry, wybierał się do nich, jakby na wyprawę do źródeł Nilu. Nowy Targ, miasteczko u stóp Beskidów, bywało miejscem zborném, z kąd przedsiębrano wycieczki do Tatr, udając się wprost ztąd do celu n. p. jeśli do Morskiego Oka: doliną Białego Dunajca przez Poronin i Bukowinę, a jeśli do doliny Kościeliskiéj, to doliną Czarnego Dunajca zawsze powracając do Nowego Targu. Gdy się liczba zwiedzających Tatry powiększyła, odległość Nowego Targu 3½ mili od podnóża tatrzańskiego okazała się zbyt daleką, tém samém niezmiernie utrudzającą, a dla bliższego rozpoznania gór zupełnie niewłaściwą.

Zakopane (około 2600'), wieś bardzo rozległa, z świeżo, bo w r. 1847 ufundowaném probostwem i nowo zbudowanym kościołkiem, pod samemi Tatrami od północnéj strony stała się stałém, letniém siedliskiem gości przybywających tu dla zwiedzenia gór, dla picia żętycy lub szukających wytchnienia wśród uroczéj przyrody.

Od tego czasu do dni naszych Zakopane znacznie się podniosło, ale tyle tylko, ile zdziałał lud, zostawiony samorodnemu przemysłowi bez żadnéj pomocy inteligencji okolicznéj. Owszem kładziono temu tamę, uważając w tym względzie własną materjalną i moralną szkodę. Lud wiejski przestawał zależéć od właściciela dóbr, miewając od przybyłych sposobność zarobku, a przez obcowanie z ludźmi wykształconymi, wyrabiał się moralnie, nabywając rozmaitych wiadomości.

Kto ma poznawać północną polską stronę Tatr, udaje się do Zakopanego i tam zamieszkuje, czyniąc ze stałego miejsca pobytu dowolne wycieczki. Wieś ta górska, aby odpowiedziała swemu celowi, posiada wszelkie warunki, ale tak jak dziś, jest dopiéro zawiązkiem ku temu. Rozpatrzmy się w jéj otoczeniu.

Od południa piętrzy się łańcuch Tatr; mają one sobie tylko właściwy charakter; dlatego kto ich dobrze nie poznał, pomimo znajomości innych gór w Europie, nie może o nich prawdziwego wydać sądu bez narażenia się na zarzut kłamstwa, na lada słowie bowiem złapać go łatwo. Z tego to powodu często napotyka się takie brednie o Tatrach nie tylko w pismach ulotnych, ale i w dziełach naukowych, iż nie wiedzieć, czy się śmiać czy gniewać trzeba na nieświadomość autorów. Nabrały już nawet w literaturze obywatelstwa tak oczywiście błędne mniemania, że je każdy własnemi zmysłami może sprawdzić, a jednak trudno bardzo walczyć z uporem, gdy ludzie wolą plotki niż prawdę.

Nie miejsce tu na prostowanie wielu, bardzo wielu podrukowanych fałszywych wiadomości dotyczących Tatr, témbardziéj gdy przy téj sposobności przyszłoby się powadzić z niejedną nawet na inném polu znakomitością literacką. Najwięcéj plotek roznoszą ci literaci i literatki, co bez odpowiedniego wykształcenia w dziale przyrodniczym, zajrzawszy do Tatr rozpisują się potem o nich, a w określeniu niedość poznanego przedmiotu braki zapełniają własną fantazją.

Już samo położenie Tatr jest nader oryginalne. Patrząc na nie z Krakowa sądzićby można, że góry Karpackie piętrząc się już ztąd powoli, coraz wyżéj się wznoszą docierając bez przerwy do łańcucha śnieżnych szczytów. Dlatego z wielkiém zdziwieniem podróżny zapuściwszy się doliną Raby do wnętrza gór, przebywszy potém ich grzbiet przez Luboń, Habówkę i Obidową spostrzega gdzieś w dali sine, olbrzymie, nowe pasmo, oddzielone równinami — to dopiéro Tatry.

Przestrzeń dzieląca Beskidy od Tatr zowie się Podhalem lub Nowotarską doliną. Przerzynają ją Dunajec Czarny i Biały, łącząc się w jedną rzekę przy Nowym Targu, a zaludniają górale Podhalanami zwani, zamieszkali w przeszło 40 wsiach i jedném miasteczku Nowym Targu, znaném na całém Podhalu pod imieniem „Miasta". Są podania i uczonych mniemania, jakoby dolina Nowotarska była pierwotnie jeziorem, które jakiémś może wulkanicznėm wstrząśnieniem znalazłszy przez wąwóz Pieński ujście dla swych wód, spłynęło, utworzywszy słynne, cudownie piękne koryto Dunajca, które dziś jest sławą ziemi Polskiéj.

Podhale jest falistą równiną, ze znacznemi wzniesieniami, które jednak wobec grzbietu Tatr zaledwie za pagórki mogą uchodzić. W odległości pół mili od stóp Tatr jest wzgórze Gubałówka, nad poziom Zakopanego 900 stóp wzniesione; między niém a Reglami, które się z szeregu gór wysunęły naprzód pod linję prostą, leży właśnie rzeczona wieś Zakopane, tworząca niejako osobną téj saméj nazwy dolinę, zwróconą ze wschodu na zachód, o któréj nawet na myśl przyjść nie może jadącemu po raz pierwszy z Beskidów, bo kryje się zupełnie przed wzrokiem patrzącego. Droga z Nowego Targu wzdłuż Białego Dunajca zdaje się, że rośnie w miarę posuwania się ku Tatrom. Przybyłemu do Poronina powiadają górale, je jeszcze mila do Zakopanego, bo mając przed sobą ciągle turnie tatrzańskie, co chwilę się wydaje, żeśmy już u celu podróży, nim wreszcie z pośród grupy domostw ponad drzewami ukaże się krzyż kościołka Zakopiańskiego.

Zakopane, o 2500 ludności rozciąga się szeroko i długo, czepiając się wzgórzy, to brzegów potoków, przybierając nazwy osobne; lecz powoli wyrobiły się dwa punkty ciężkości. W Kuźnicach, koło dworu, w dolinie Bystréj gromadzi się wszystko, co zależne od właściciela dóbr, a koło kościołka jednoczy się życie gminy. Tę część zwykli zajmować goście przybywający w lecie z różnych stron Polski. Jest już i kolonja żydowska, szybko wzrastająca; handel tu jak u nas wszędzie dzierżą oni w swoich rękach.

Skoro wtoczy się wózek z podróżnymi o jakimkolwiek czasie do Zakopanego, znajdzie się zaraz wszystko, czego dla nich potrzeba. Zbliża się ten lub ów z górali z twarzą wesołą, szczerze wita nieznajomych, gotów do każdéj usługi, a chociaż gość nie potrzebuje informacji, mimowoli się ich nasłucha. Serdeczne przyjęcie, jakiego się za pierwszém stąpnieniem w Zakopaném od ludu doznaje, chociaż ono głównie pochodzi z nadziei zysku, bądź co bądź zawsze wielką jest dla gości przynętą. W innych krajach zimno przyjmą, a swoją drogą porządnie kieszeń oskubią.

Dom duży niedawno tuż za kościołkiem zbudowany dla gości przez Krzeptowskiego, majętnego górala z Kościelisk, stał się wśród Zakopiańskiego rynku punktem zbornym. Naokoło domu są ławki, zasłonione obdasznicą od deszczu, co sprzyja niemało gawędzie, wewnątrz domu restauracja od roku dopiéro zaprowadzona, kilka pokoi gościnnych i sklepik żydowski z najrozmaitszym towarem lichym, a drogim. Minąć tego domu nie można, bo jedna tylko przez wieś tędy wiedzie droga, więc samochcąc zaczepia się o to, co nam potrzeba.

Jeżeli pora ładna, to w lipcu i sierpniu gości bywa dużo, nie trudno spotkać grono ludzi tu i ówdzie gwarzące swobodnie, a wśród nich łatwo o znajomego: jeśli zresztą z dalekich kto stron Polski, prędko z nieznanymi do znajomości przychodzi. Właśnie w Zakopaném pobyt odznacza się swobodą. nie ma koterji, a dla pokonania form etykiety łącznik się zawsze tu znajdzie.

Zajechawszy przed chatę, która nam ma użyczyć schronienia przez czas pobytu w górach, zagroda góralska przyjemne musi wywrzeć wrażenie, jest w całości jakiś miły rozkład jak na włościańskie gospodarstwo. Podwórko małe okalają oprócz mieszkalnéj chaty zabudowania gospodarskie, stodoła, obora, szopa, stajnia, dachy u nich z obdasznicami pozwalają krążyć na około nich w czasie słoty. bez zmoczenia; płyty zaś kamienne pokładzione w najpotrzebniejszych miejscach wyglądają na brukowane chodniki. Okna we wszystkich chatach w Tatrach są zwrócone na południe, znać z tego, jak im słońce pożądane. Rozkład chaty góralskiéj wszędzie prawie jednaki. W pośrodku domu drzwi do sionki, z niéj w prawo i lewo dwoje drzwi, jedne wiodą do izby świętalnej, zwanéj świetlicą, która góralom służy na przechowanie stroju, wszelkiego majątku i na odbywanie uroczystości rodzinnych; drugiemi drzwiami wchodzi się naprzeciw do izby stale zamieszkiwanéj przez rodzinę właściciela chaty. Jest tu wielki piec z przypieckami naokoło, łóżka przy ścianach, w powietrzu na sznurach u stragana od powały wisi kołyska, na drążkach podręczna odzież; w górze ścian półka ozdobna na talerze, w rogu szafka z półkami, wzdłuż ścian ławki, na środku stół i kilka stołków właściwéj góralom struktury; a po ścianach obrazy, obrazki z odpustów lub jarmarków naznoszone. Okna małe i niskie drzwi nie przypadają do naszego smaku, bo w izdebkach mało światła, a głowy tłuc zwykliśmy o odrzwia, przyzwyczajeni do wysokich drzwi po miastach.

Gdy goście całą chatę zajmują, gospodarze przez ten czas mieszczą się w stodole, a sypiają po strychach. Z biegiem czasu napotyka się tu niektóre ulepszenia, znajdzie już w izbach piece z blachami, sprzęty różnego rodzaju, a nawet poczęli Zakopianie budować nowe domy dla gości wyłącznie przeznaczone, z oknami i drzwiami większemi niż w zwykłych swoich chatach, z większą liczbą pokoi, po dwa z obudwu stron domu, z pokoikiem na pięterku, zwaném u nich zwyżką. Jeżeli przed chatą łączka, miejsce sposobne do posiedzenia, a widok na szczyty niczém niezasłoniony, pożądańsza taka kwatera niż inne, bo kto tu przybywa nie dla zajrzenia, lecz dla wytchnienia po całorocznéj pracy, miło mu go użyć przed chatą nie szukając pięknego widoku jedynie na wycieczkach.

Bywają w Zakopaném tak słotne czasy, jak n. p. r. 1870. w lecie, że pogoda zjawiskiem w Tatrach; mgła kryje wszystko naokoło, deszcz leje bezustannie, potoki wezbrane szumią, można powiedzieć huczą, tocząc mętną, spienioną wodę, a z nią kamienie, krzewy, drzewa i t. p. Lada ściek zamienia się w strumień, drogami płyną wody, wszędzie błoto, mokro gdzie stąpić; wtedy wolny czas od czytania i pisania schodził mi na gawędzie z góralami. Trzeba przyznać, że górale posiadają dar opowiadania, przyczém zwykli giestami i ruchami całego ciała dopełniać słowa. Najwięcéj zaczerpnąć wiadomości można od starych górali, zasób u nich spory wiedzy dotyczącéj ich stosunków i miejscowości.

Do każdych gór przywiązane są opowieści o rozbójnikach; Tatrom ich nie brak, co mnie się w tym względzie dotąd udało zebrać, tu podaję.

Pominąwszy dawnego opryszka tatrzańskiego Janosika, który z swą bandą żyje w piosnkach, o ostatnich rozbójnikach w Tatrach opowiadał mi stary gazda, Paweł Janik Gąsienica z Zakopanego. Przed 40 laty czterech zbójników (tak tu zowią opryszków) rozbijało po Tatrach. Dwaj pochodzili z Liptowa, a dwaj drudzy z Zakopanego. Byli oni straszną plagą okolicy, napadali po drogach, po domach, po karczmach i po szałasach. Drżeli przed nimi ludzie i ze strachu wykonywali ich rozkazy bojąc się ich zdradzić. Po halach żywili się żętycą, sérem, zarzniętemi owcami, a nawet krowami. W zimie przebrani za ubogich, szli w nieznane okolice niby dla zarobku, a właściwie dla przezimowania, gdzie przebywali porę tę niepoznani.

Na hali Królowéj była ładna dziewczyna, do któréj owi czteréj rozbójnicy często zaglądali i wówczas u stawów Gąsienicowych juhasował właśnie opowiadający mi tę rzecz Paweł Janik. Zbójnicy posłali dziewczynę do szałasu Gąsienicowego. aby im na brzeżek doniesiono żętycy i séra. Szałaśnicy wszyscy się bali iść, więc owego Pawełka jako najmłodszego wysłali z żądaną przesyłką. Szedł powoli ze strachem, gdy ujrzał zdaleka na pniaku siedzącego zbójnika, który krzyknął na juhasa: „chodź sporo“ (prędko). Chłopak pobiegł, oddał żętycę w gielecie, a w szmacie sér, zbójnik kazał mu w to samo miejsce przyjść po naczynie i zawiniątko i dał mu kawał wielki gotowanego mięsa. Gdy Pawełek póżniéj przyszedł w naznaczone miejsce, znalazł gielet i szmatę, a z ludzi nikogo nie zastał.

Zbójnicy ci ubrani byli zupełnie po góralsku, w białych guńkach z tą różnicą, że u koszuli rękawy i rąbki koło szyi mieli gęsto wybijane świecącemi guzikami, kapelusz także wysoko obity guzami metalowemi. Przez plecy każdemu wisiała strzelba, boki obejmował pas bardzo szeroki, bogato ozdobny, a za nim mieli pistolet, jeden lub dwa, i nóż wielki, szeroki, a oprócz tego w ręku ciupagi (toporki). Aby ich łupiestwa ukrócić, posyłano ze Sącza wojsko, które naturalnie jak zwykle nic nie zrobiło, bo zbójniki nie byli głupi przychodzić wtedy do szałasów, gdy żołnierze tam siedzieli objadając biednych górali. Szałaśnicy na tém najgorzéj wychodzili, bo żywić musieli jednako obrońców i napastników. Czyniono na tych zbójników obławy, lecz i to skutku nie przynosiło, bo lud pod strachem zemsty robił to, co musiał, a pobytu rabusiów zdradzić nie mógł wiedząc, że gdyby się wyprawa ze wszystkiém nie powiodła, stałby się przedmiotem zemsty opryszków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.